Rok V. Myślenice, listopad-grudzień 1936. Nr. 3.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Listopad Narodowy.

Już ostatnie promienie zachodzącego słońca spłynęły po ziemi i znikły. Wiatr kołysze konary drzew i strąca z nich ostatni liść. Ziemia przykryta złotym kobiercem jest dziwnie smutna. Gdzieś w oddali płynie jak echo tęskna melodia. Odbija się od szklistej powierzchni wód i rozchodzi się w dal coraz dalszą, aż wreszcie ginie w przestworzach. Zapada mrok. Świat cały pogrąża się w tajemniczej ciszy.

Na niebo wypłynął srebrny księżyc. Łagodnym światłem oblewa góry i bór, spływa pod strzechy, kąpie się w srebrnej topieli wód. Z dala dochodzi szum boru jakby westchnienia duchów. W powietrzu panuje smętna i łagodna cisza jesieni.

Wreszcie księżyc zginął na widnokręgu. Na niebie powleczonym obłokami ukazały się pierwsze zwiastuny dnia. Wstał on cichy, milczący i smutny. Nie witał go jak w lecie chór bożych śpiewaków. Przyroda cała w milczeniu oczekuje nadejścia zimy.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Cisza. Zegar miarowo tyka na ścianie. Za oknami ciemność głucha. Uroczy królewicz Sen zawładnął światem. Lecz w ciemności rozeznasz jąkąś twarz przywartą do szyby. Oczy z tajemną tęsknotą utkwione gdzieś daleko. Głowa opada pod natłokiem myśli. Ucho bezmyślnie łowi tykanie zegara. Usta kurczowo zaciśnięte wypowiadają chwilami niezrozumiałe słowa. Czasami rękę podnosi przeciw

nieznanemu wrogowi — a oczy wtedy nienawiścią płoną i żądzą zemsty. Rozpaloną skroń przykłada do chłodnej szyby. Porywa go okrutna tęsknota za — wolnością! Z ciemności nocy dolatują jęki wiatru. To wiatr dziwnie żali się razem z młodzieńcem i żałośnie łka, wtórując skargom młodej duszy:

„Ach! Kiedyż wykujem, strudzeni oracze,
lemiesze z pałaszy skrwawionych,
Ach! Kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze
prócz rosy łąk naszych zielonych?!"

Było już późno. Ocknął się i usłyszał jęki wiatru. Mimowoli przeszedł go dreszcz. W sąsiednim pokoju zbudziła się matka.

— Synu, ty nie śpisz? — w głosie jej drgał niepokój. Lękała się o niego. Niedawno zginął mąż, a teraz może znowu... Nie!... Odrzuciła od siebie tę myśl. Wszak Bóg nie wymaga tak wielkich ofiar — starała się uspokoić.

— Matko, czy słyszysz te jęki, to dusze naszych męczenników... —

— Uspokój się, synu. Pomódl się za nie, wszak to listopad. —

— Mamo, za dużo tego, za co cierpimy? kiedy skończy się ta męka? — z jego ust popłynął potok skarg. Przygarnęła go do serca i słuchała. Skończył. Złożyła na jego czole długi pocałunek. Wiedziała, że pójdzie. Widziała jego zapał, miłość i nienawiść i zrozumiała, że poniesie jeszcze jedną ofiarę.

Długo jeszcze rozmyślał. — Tak, pójdę z innymi walczyć za Polskę. Dość tej udręki! — Z tymi myślami zasnął.

Przez kilka następnych dni był dziwnie ożywiony. Dzień 28-go listopada spędził z matką. Ona z miłością patrzyła na niego, chcąc napoić wzrok jego widokiem na szare dni smutku. Ostatni wieczór-ta myśl raniła jej serce, ale na twarzy malował się zupełny spokój. Szybko minęła noc i nadszedł dzień, w którym poniosła ostatnią ofiarę dla ojczyzny.

— Matko, do braci idę w bój, dla świętej idei — rzekł jej. Objęła jego głowę, a z oczu spłynęła jedna łza i zastygła. Odszedł odprowadzany oczyma matki.

Gdy wieczorem tego dnia wybuchł pożar browaru na Solcu, wiedziała, że tam jest jej syn. Biegła myślami do Belwederu. Śledziła z uwagą wypadki. Słyszała o męstwie Polaków. Rozlała się krew pod Stoczkiem, Grochowem. Żołnierz polski zajaśniał nieustraszoną odwagą i bohaterską pogardą śmierci.

Nie spełniły się jednak nadzieje syna. Wróg nadal triumfował.

— — — — — — — — — —

Nadszedł smutny dzień Zaduszek. Groby toną w powodzi zieleni, kwiatów i świateł. Smutek i cisza zawisły nad światem. Między grobami snują się cicho cienie ludzkie. Przy czarnym krzyżu klęczy matka. Nie czuje do nikogo żalu, tego wymagała Ojczyzna. Wywiązała się dobrze ze swego obowiązku matki i żony. Cichy szept modlitw, przerywany szlochem, płynie do stóp Miłosiernego: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!"

— — — — — — — — — —

Mijał rok za rokiem, a Polska jęczała w niewoli...

Aż oto nadszedł dzień 10. listopada 1918. roku. Polska powstała, by żyć. Z głuchym łoskotem opadły kajdany. Orzeł polski wzbił się wysoko w przestworza, głosząc zwycięstwo.

Już 18 lat trzepoce sztandar wolności. Z serc naszych płynie jedna potężna modlitwa :

„Ojczyznę wolną pobłogosław Panie !"

— — — — — — — — — —

W cichy wieczór listopadowy zwróć swe oczy w przeszłość narodu. Uderz w struny duszy i przejrzyj oczyma karty historii. Przesuną się przed tobą wizje bohaterów, którzy z pogardą śmierci walczyli i ginęli za wolność, którą oddychasz, za Polskę, którą masz.

I wiew listopada, niosąc ci wspomnienie bohaterskich walk powstańczych i wielkich poświęceń, przyniesie ci równocześnie święty Ojców nakaz, byś młody i silny, wyszedł ku pracy na słoneczne pole służby dla Ojczyzny.

St. Grucówna (VIII.)

Krwawym szlakiem.
(Obrazki z wojny).

Groza wojenna zawisła w ów słotny dzień jesienny nad zastygłym w przerażeniu miasteczkiem. Już hen—stronami niosły się głuche odgłosy armatnich kul, już wieści jak złowróżbne ptaki pogrążały w pełen obawy smutek.

Aż nagle—na opustoszałym rynku, w głuchej ciszy zabrzmiały kopyta końskie—z załomów ulic wysunęły się szare szynele Moskali. To patrol. Głucho dźwięczały kopyta po bruku miasteczka.

Gdy Krystyn spostrzegł żołdaków, było już zapóźno. Otoczono go w jednej chwili. Padają pytania. Krystyn nie wie, nie powie. Silnym wzrokiem patrzy w twarze Moskali. Kolba karabinu spada mu na ramię, raz i drugi. „Mów!" Krystyn zaciska usta, patrząc z pogardą.

A wtem przerażający gwizd — nagły ruch. W szalonym pędzie uciekają Moskale.

— — — — — — — — — —

A potem inny dzień. Jakiż inny! Wzdłuż ulicy—szeregi rannych z krzątającymi się między nimi biało ubranymi postaciami.

Między owe szeregi wjeżdża na karym koniu Komendant. Oczy żołnierskie przyćmione bólem jaśnieją. Błyszczy w nich taka bezdenna miłość, gdy patrzą w twarz ukochanego Wodza, taka wierność poddańcza dla Tego, który ich wiódł w święty bój o wolność. A On—patrzy spokojnym wzrokiem spod krzaczastych brwi. W surowej twarzy maluje się powaga.

Na szarej burce ni śladu odznak.

Ale bije od Niego taka moc i władczość, że poznałbyś Go wśród tysięcy.

Cichym głosem, urywanymi zdaniami wydaje rozkazy. Prężą się w służbistej postawie żołnierskie postacie.

— — — — — — — — — —

Przycichły trochę na „Lipowym" strzały armatnie. Gdzieś w dali ustała bitwa. Wiodą jeńców. Posępne, zmęczone twarze, obłocone szynele.

Krystyn patrzy na przechodzących. Nagły błysk świadomości, przypomnienie bólu ramienia. „Ach, to ty żołdaku—w niewoli!"

Przez przygasłą twarz żołnierza przemknął uśmiech i znikł w surowym załamaniu ust.

Krystyn myśli teraz, jak straszna jest igraszka losu.

— — — — — — — — — —

I znów Moskale. I tak już kilka dni. Krystyn musi patrzyć na to, jak kręcą się po całym domu, z tupotem nóg, z trzaskiem zamykanych drzwi, z brutalnymi słowami.

W ciszy pokoju zapłakało dziecko. Żołnierz drzemiący pod ścianą, podniósł się ociężale. Niedbale zbliżył się do kołyski i chrapliwym głosem zaczął nucić: aa—a....aa—a....

Dziecko przycichło. A on stał bez ruchu. Przez surową twarz przebiegł skurcz... Może tam w domu, w dalekiej Rosji została taka mała istotka z płowymi włosami, może nie ma jej kto ukołysać?...

Moskal też ma serce. Zdaje się, że po ukrytej w mroku twarzy spłynęło kilka łez....

— — — — — — — — — —

W miasteczku niezwykłe ożywienie. W urywanych rozmowach znać radość, podniecenie.

Legiony — legioniści!

Garstka ich wprawdzie była, ale—legioniści. Posypały się pytania, skąd i dokąd idą, gdzie Wódz...

Starszy już, może pięćdziesięcioletni legionista odpowiadał cierpliwie. Idą na Sącz, może Bóg da dojść. Zdziwienie zabłysło w jego twarzy, gdy ktoś zauważył, że on, sterany wiekiem rzuca się w wir walki. Jasnym głosem tłumaczył, że przecież tu idzie o świętą sprawę i on chce jej służyć.

A obok oparty o framugę okienną, trzymając kurczowo karabin drzemał młody legionista. Chłopak może siedemnastoletni. Dziecko prawie. W chłopięcej przybladłej twarzy malowało się zmęczenie. Siwe oczy raz po raz zamykały się w krótkim urywanym śnie—drzemaniu.

Ci dwaj—to może ojciec i syn, zbratani bronią, idący za zjawą Ojczyzny, ukazującej się im z poza krwi i dymów pożarnych—idący za swym Wodzem.

— — — — — — — — — —

Szli na Sącz i czekała ich ciężka przeprawa przez wezbrany Dunajec w zimny, jesienny dzień. Czekał ich grad kul.

Wraz z bladym, posępnym rankiem wrócili.

Wróciła ich mniejsza jeszcze garstka. Przybici, śmiertelnie zmęczeni, z rozpaczą w oczach, w ociekających wodą mundurach.

Reszta? — Wielu padło pod kulami, gdyż z rozpaczliwą zaciekłością próbowali dotrzeć do miasta. Wielu pochłonęły mętne wody Dunajca.

Ale została tej reszcie — nadzieja:
„Jeszcze powstanie z krwi naszej Polska, jeszcze Ją wywalczymy!“

— — — — — — — — — —

I wywalczyli.

M. N. (VIII.)

„Gorące serca zwalczą mróz“.

Nieubłagana rzeczywistość spoglądała przez otwory zimnego pieca. Zmarznięte ręce z wytrwałością godną podziwu szukały ostatnich dawno zjedzonych kartofli w popiele.

Z każdego kąta wyglądała nędza i czarna beznadziejna rozpacz.

Za oknami pokrytymi wzorzystym kilimem mrozu czyhała śmierć.

Ostatnie promienie dogasającej lampki rzucały mdłe światło na małą izdebkę.

Raz po raz słaby płomyczek migotał w podmuchach wiatru, hulającego po izbie przez wybite szyby.

Na polu szalała śnieżyca.

— — — — — — — — — —

Tyle takich i tym podobnych obrazów nędzy tak strasznej, tak bezgranicznej widzimy na każdym kroku.

I czyż może mamy pozostać głuchymi na wołania bliźnich, na jęk głodnych, na skargi zziębniętych lub z uśmiechem lekceważenia rzucić „łaskawy“ datek do potarganej czapki nędzarza?

Albo domagać się spokoju od natrętnej rzeszy łachmaniarzy?

To nie łaska dać wsparcie, to nie czyn godny nagrody otrzeć łzy zziębniętych współbraci, ale nasza powinność, nasz obowiązek.

Gorejące serca, serca kochające i wspomagające przezwyciężą smutek, otrą łzy, nasycą głodnych, odzieją obdartych, same nic nie tracąc, owszem zyskując moralnie, zdobywając cichy medal zasługi „Miłości bliźniego“.

A wtenczas, gdy ci biedni i zziębnięci zostaną nasyceni i ogrzani, uśmiech wdzięczności okrasi sine usta. Serce usłyszy serce, ręka podeprze rękę i radość obopólna dobrze spełnionego obowiązku i zadowolenie, że jednak nie jestem sam, że jest ktoś, kto o mnie myśli, komu jestem bliski i kochany, złoży się na hymn radosny: „Gorące serca zwalczyły mróz!“

S. S. F. (VII.)

Urok nocy zimowej.

Powoli spływa na ziemię mrok nocy zimowej. Miliony gwiazd przebijają szafirową półkulę nieba. Noc otula swym płaszczem lasy i góry — szarzeją pola pod puchem świeżego śniegu.

Miliony światełek wioski zacisznie przytulonej do góry — jedne po drugich gasną — sen ogarnia naturę i ludzi.

Zadumany księżyc sunie po niebie, srebrząc swym blaskiem lasy i pola.

Wszystko jak w bajce — puch śniegu skrzy się tysiącami iskier, przygarbione jodły uginają się pod ciężarem białego płaszcza.

Między chatkami snem otulony stoi dworek, jedno tylko okno słabo jeszcze migoce, pewno komuś myśli sen z powiek spędzają.

Naokoło cicho szumi ogród.

A księżyc, stróż nocnych czarów, każdego swym widokiem ukoi. Próbuje się przeglądnąć w jeziorku — ale tafla lodu odbija tylko snop światła.

Pochylony wiekami kościółek odbija się na tle nieba, śnieg zarysowuje kontury dachu. Księżyc zagląda w okna kościoła. Cicho tam i ciemno. Tylko święte figury z witraży jakby błądzą między ławkami, suną w stronę, gdzie fundatorzy kosciółka na wieczny sen spoczęli — na sen bezpieczny w kamiennych sarkofagach.

A. Brzezińska (II.)

Nasze życie.

No! już wreszcie mam spokój. Praca skończona. Jasne światło lampy oświetla mój pokoik. Wszędzie panuje cisza niezmącona. Wracam myślami do przeszłości. Przypominam sobie chwile od czasu mego pobytu w gimnazjum. Chwile jak zwykle wesołe i smutne. Lecz ponad wszystkim promieniuje praca. Naprawdę owocna praca. Wszystko wre, kipi, jakimś życiem utajonym, promiennym. Ale czasem mam z tym trochę kłopotu...

— — — — — — — — — —

Spotykam moją koleżankę. Ma do mnie prośbę. Wyłuszcza całą sprawę. A więc tak — niski poziom nauki w szkole. Trzeba coś zrobić. A więc przede wszystkim: trzeba gramatykę znać „expedite", dalej słówka, składnię i t. d. — Pochwalam tę złotą myśl, przyklaskuję jej. Przyrzekam nawet swą solidną pomoc. — No, ale „serdeńko", jeszcze słówko! Musimy tu zacząć od podstaw, najpierw wśród najbliższych koleżanek, a później w szerszym gronie. Więc na razie trzymaj to w tajemnicy, bo gdyby się nie udało! — Ależ doskonale! Wszystko będzie dobrze! — I zadowolona podążyłam dalej. Jedna sprawa już załatwiona. Odwiedza mnie inna koleżanka. Znowu jakaś sprawa. Słucham cierpliwie. Ona mnie objaśnia: — jest kilka koleżanek, wiesz! ja jestem ich przewodniczącą. Naprawdę! ile ja się namęczę. Nie uwierzysz! Nie chcą mię słuchać, nie chcą chodzić na zbiórki, wszystko sobie lekceważą... Przerywam cały jej potok skarg. Więc trzeba jakoś zaradzić. Ale jak? Myślimy... myślimy... Już jest! Trzeba im utworzyć 10 przykazań, które mają je obowiązywać. Moja interesantka jest zachwycona. — Pomyśl, że ja nie wpadłam nawet na ten pomysł! — Już wyrosło jak spod ziemi 1, 2, 3, 7, a wkońcu dziesiąte przykazanie. Koleżanka dziękuje mi ślicznie, przyrzeka wdzięczność do „grobowej deski". Już zawiła kwestia rozwiązana. Ale moja towarzyszka wraca z ulicy i mówi tajemniczo: — Ach! moja droga! Byłabym zapomniała. Ja cię proszę, trzymaj to w sekrecie, nikt nie może o tym wiedzieć, bo to jest tajemnica mojego zespołu. — Dobrze, dobrze! — Za kilka dni donosi mi, że wszystkie „poddane" pracują gorliwie, no, jednym słowem wady zaginęły. Jednak prosi mnie o dalszą pomoc. Cieszę się, że są takie dobre wyniki. Przecież trzeba tępić zło na ziemi, a pielęgnować kwiaty dobroci.

— — — — — — — — — —

Dzisiaj jest niedziela. Spotykam kilka serdecznych przyjaciółek. Z początku wesoła rozmowa, później coraz poważniejsza. Wreszcie jedna mówi: — Czy wy wiecie o tym, że my się już wkrótce pożegnamy? Każda pojedzie w inną stronę. — Lecz druga żywo protestuje. — Nigdzie tak daleko nie pojedziemy! — No! niech będzie, jak mówicie, ale w każdym razie trzeba coś zrobić. Świat jest taki szeroki, mogłybyśmy o sobie zapomnieć. Nic innego, tylko trzeba napisać kilka np. 10 punktów wytycznych (znowu 10!) według których każda będzie obowiązana postępować. A więc dobrze! Już napisane! Przy pożegnaniu ostatnie słowa: Tylko pamiętajcie! my tylko o tym wiemy, nikt więcej.-

Na drugi dzień idę na zebranie. Prezeska mówi: — Musimy mieć swoje imiona, swoje godło, zawołanie i t. d. Trzeba mieć także swój alfabet i wiele innych rzeczy. Tylko proszę o intensywną pracę, o współdziałanie ze mną, gdyż sama nie mogę nic zrobić. Macie także 10 punktów, (!) według których zawsze należy postępować. A więc pamiętajcie! Praca! Aha! jeszcze jedno! To, co tutaj mówiłyśmy, nie może nigdy wyjść poza nasz obręb. To musi być bezwzględną tajemnicą! — Po długich naradach zamykamy w końcu zebranie. W uszach dźwięczy mi jeszcze słowo: tajemnica! Wszędzie człowieka napadają z różnych stron „tajemnice". Tu tajemnica, tam tajemnica, wszędzie tajemnica. Nasuwa mi się myśl, że wobec tego całe życie jest jedną wielką tajemnicą. Lecz co tu począć, jeżeli ktoś jest „oblężony" przez tajemnice? Zanim przemówię do kogoś, muszę sobie przede wszystkim uprzytomnić, co ja mogę mówić, co jest tajemnicą, a co nie. Ale mam nadzieję, że to tylko chwilowo.

Wobec tego twierdzę, że najlepszym środkiem na obojętność Czytelników wobec gazetki „Głosu Młodych" jest utworzenie dziesięciu przykazań, z pomocą których mogliby wszyscy „zimni" napisać do swej gazetki. Tylko zalecam tajemnicę.

„Trzeba tutaj intensywnej pracy i tajemnicy"!

„Sokole Oko" (IV.)

Czarne na białym.

Czarne na białym — to długie czarne szeregi czcionek, układające się w szpalty i kolumny na śnieżnych płatach białego papieru.

Czarne na białym — to cienie na lśniącym śniegu, plamy na księżycu, czarne godziny jasnych dni, troski w wędrówkach ku ideałom, to wreszcie czarne „4" na białej kartce notesu profesora— niestety!—Kto chce poznać te nasze troski i zgryzoty, nasze zamiary, chęci, zachcianki, kto chce poznać przyszłe i dzisiejsze sławy, poznać poetów, niepoetów, kto chce się cieszyć czy wzdychać razem z nami, niech weźmie do rąk nasze pisemko, a ujrzy w nim

czarno na białym

to wszystko (?), co go interesuje i bawi. Tak! Znajdzie tam każdy swojego znajomego, „swoją żabkę, co przed nim ucieka i swojego zająca, który się boi".

Treść naszych numerów — to niespotykana dotąd mieszanina zwięzłych informacji, literackich wyczynów, poezji, dowcipu, humoru, satyry, parodji — uff! Dosyć!

A całość — mocna jak uderzenie pałką w łeb, a tania przy tym jak barszcz.

Ostrożnie więc — by się nie zachłysnąć zachwytem !!

— — — — — — — — — —

Osiemnasta rocznica odzyskania niepodległości już za nami.—

11 listopada — to dzień, który święcimy zawsze z jednakowym uczuciem, z jednakową radością.

A że chcemy zawsze pokazać światu tę radość, chcemy zamanifestować swoje uczucia — rzecz naturalna — urządzamy poranki, akademie...

I tego roku nie pozostaliśmy w tyle, a może nawet postąpiliśmy krok naprzód ?

Urządziliśmy więc poranek. I co dziwniejsze — poranek zupełnie się udał, a nawet wypadł nieoczekiwanie dobrze. To jest właśnie ten krok naprzód.

Program tego poranku — zresztą niezbyt różniący się od tysiąca programów podobnych uroczystości, które niezmiennie zaczynają się mniej lub więcej patetycznymi mowami, mniej lub więcej utalentowanych mówców — składał się z kilku (a nie z dwu jak zwykle) punktów. A więc prócz tradycyjnej mowy, prócz chronicznie niedomagającego chóru było kilka, a raczej 2 deklamacje, potem jeszcze deklamacja na tle poloneza, potem na tle mazura, a na tle tej deklamacji i tego mazura — taniec rytmiczny.

Program więc jak widać nie byle jaki! I bardziej urozmaicony.

Tyle o programie. A dekoracja ?

Tu już miało pole do popisu kilku mistrzów od wszelkiego rodzaju drutów, gwoździ, stopek czy lampek elektrycznych.

A więc — na białym tle, strojnym w złote i czerwone pasy zawisł orzeł na czerwonym tle (wspaniałe dzieło naszego skromnego mistrza R.) w kształcie koła, oświetlony elektrycznością. Dekoracja skromna, ale tym efektowniejsza. I tu należy się uznanie projektodawcom, ale może większe wykonawcom, bo przysłowie mówi „nie

ten pan co zaczął, ale ten co skończył". Lecz to już ich sprawa, jak się tym uznaniem podzielą.

Zresztą, może nie każdy z nich dowie się o tym, że należy mu się uznanie!! Obawiam się bowiem, że mistrz od elektryki zbyt będzie zajęty swoimi stopkami, przewodnikami, reflektorami i nie przeczyta tej mądrej rozprawy, mistrz zaś „od orła" — radiem czy detektorem. Trudno — sami sobie zaszkodzą.

Porzuciwszy te tak ważne kwestie trzeba zająć się wykonaniem programu.

A więc mowa — opracowana zresztą starannie i wypowiedziana została — jak zwykle — przez innego rodzaju mistrza — tym razem — mistrza od mów i jak zwykle z podziwienia godnym, stoickim niemal spokojem. Bez, ale to bez odrobiny tremy!

No, ale to już jest osobista zaleta naszego mówcy, że wtedy właśnie, gdy nie potrzeba, nie boi się. Wprawdzie — tak cichutko mówiąc — przy końcu „zaciął" się troszeczkę, tak odrobinkę, ale to przecież zdarza się najporządniejszemu człowiekowi! Po mowie chór odśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła" — płynnie i prawie zupełnie czysto. To było zadziwiające. Właściwie jednak tak musiało być, bo dyrygentem był sam kol. Sławek. Tak przedziwnie „wyczyniał" rękami dyrygując chórem, że ten odśpiewał jakby nigdy nic hymn i jeszcze 3 piosenki w 3-cim punkcie programu. — Wprawdzie potem... — ale o tym potem. — A potem nasza słynna deklamatorka zadeklamowała na tle poloneza ładny i mocny okolicznościowy wiersz.

Do tego chyba nie potrzeba komentarzy. Każdy wie najlepiej o tym to, co wie. Teraz znów chór — odśpiewał wyżej wspomniane 3 piosenki legionowe. Tenorzy nasi coś zaszwankowali w pewnym momencie, nie mogąc „wyciągnąć", ale to — broń Boże — nie wpłynęło na zmianę mojego zdania o chórze, na którym mu pewno bardzo zależy.

Po chórze — deklamacja. Wiersz p. t. „Rzeczpospolita" wygłoszony spokojnym, mocnym głosem przez koleżankę z VII-mej. Po deklamacji — chór? Da capo al fine? Nie! A właściwie tak, tylko, że w tym wziął udział zespół tancerek, wykonując w takt mazura taniec rytmiczny. I to był według mnie najładniejszy punkt programu. Płynne ruchy tancerek i ładne figury tańca uwieńczyły całość. To było rzeczywiście ładne, nic więc dziwnego, że powtórzone zostało

na akademii wieczornej w sali „Sokoła". Na zakończenie — chór zaczął, a my skończyliśmy spiewać „Brygadę" i — koniec uroczystości.

Tak więc ten ostatni — daj Boże! — (na usprawiedliwienie dodaję, że życzenie to dotyczy pomyślnej matury, a nie opuszczenia szkoły) przedmaturyczny poranek udał się i zostawił chyba wszystkim a przynajmniej nam „ptakom na odlocie" (określenie kradzione!) miłe wrażenie. Tyle o poranku.

A teraz akademia wieczorna... Ale nie — stop! — lepiej nie poruszajmy tego tematu.

M. N. (VIII.)

Chicago — miasto mojego dzieciństwa.

I. W szkole polskiej w Chicago.

Pragnę z Czytelnikami „Głosu Młodych" podzielić się wspomnieniami, jakie przywiozłem z mego miasta rodzinnego Chicago, gdzie spędziłem pierwszych 10 lat mego życia. Może w tych wspomnieniach znajdzie się niejedno, co Was zainteresuje, może niejeden nowy szczegół uzupełni Wasze wiadomości o tym, w jakich warunkach żyją i kształcą się tysiące dzieci polskich wychodźców, mieszkających w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Urodziłem się w Chicago, olbrzymim mieście Stanów Zjednoczonych A. P., liczącym przeszło półtrzecia miliona mieszkańców wspaniałej stolicy krainy wielkich jezior. Spośród wielu gałęzi przemysłu i handlu, mających tu swoje ognisko, ważną rolę odgrywa przemysł i handel mięsny. Słynne są ogromne chicagowskie rzeźnie, dokąd spędza się wielkie masy bydła, wypasanego na bezbrzeżnych preriach zachodnich stanów.

W Chicago żyją w największym skupieniu Polacy amerykańscy jest tu ich blisko 600.000.

Mieszkałem z rodzicami na przedmieściu, zamieszkałym przeważnie przez Polaków, tworzących parafię św. Wojciecha. Polacy ci — to przeważnie robotnicy, pracujący w różnych fabrykach a zwłaszcza w znajdującej się w tej dzielnicy olbrzymiej rzeźni. W niej pracował także i mój ojciec.

W 7-mym roku życia zapisali mnie rodzice do szkoły polskiej pod wezwaniem św. Wojciecha, prowadzonej w tej dzielnicy przez

S. S. Nazaretanki, a utrzymywanej przez Komitet parafialny pod przewodnictwem ks. proboszcza. Jest to olbrzymia szkoła, obejmująca 8 klas z których, każda liczy po 4 oddziały—w każdym zaś oddziale mieści się 80 dzieci, chłopców i dziewcząt. Ogółem uczy się w tej szkole 2.500 dzieci. Są to z małymi wyjątkami same dzieci polskie. Może ciekawi jesteście, jaki był w tej szkole rozkład zajęć? Oto schodziliśmy się o godz. 7.30 rano, o godz. 8-mej udawaliśmy się codziennie do kościoła na mszę św., po czym o godz. 8.30 rozpoczynała się nauka. Trwała ona do 11.30 z jedną tylko przerwą 15-to minutową. Po obiedzie przychodziliśmy znowu do szkoły na 2 godziny, od godz. 13-tej do 15-tej.

Wszystkich przedmiotów w każdej klasie uczyła tylko jedna nauczycielka. A musieliśmy się uczyć wiele i to w dwóch językach wykładowych, niektórych przedmiotów w języku polskim, innych w angielskim. Po polsku uczyliśmy się katechizmu, historii świętej, czytania, gramatyki, historii Polski, po angielsku czytania, sylabizowania t. j. rozkładania wyrazów na głoski, kompozycji, gramatyki, rachunków, geografii, historii Stanów Zjednoczonych, kaligrafii i rysunków. Także zadania domowe angielskie stanowiły osobny przedmiot. — Dużo nas było w klasie, ale też i odpowiednie do tej ilości uczniów było urządzenie klasy i sposób pytania. Była np. w każdej sali ogromna tablica, zajmująca całą szerokość ściany tak, iż pisało na tablicy równocześnie 10-oro dzieci to samo zadanie. Kto najlepiej napisał, otrzymywał najlepszą notę. — Gimnastyki nie uczyliśmy się zupełnie. Opłata miesięczna wynosiła 80 centów amer. Z końcem roku odbywał się egzamin do następnej klasy. Ponadto wydawano świadectwa na kartonikach z notami wpisywanymi co miesiąc, postępy zaś znaczono cyfrowo, liczbami od 50 (nota najgorsza) do 100 (nota najlepsza). —

Wiele mam miłych wspomnień z serdecznego, przyjacielskiego pożycia z kolegami w tej szkole. Jedno tam tylko uderza niemile. Oto, podczas gdy rodzice mówią tam ze sobą i z dziećmi po polsku, same dzieci rozmawiają ze sobą przeważnie po angielsku. Sprzyja to wprawdzie nauce języka angielskiego, przyczynia się jednak w dużym stopniu do wynarodowiania się tamtejszej polskiej młodzieży.

(C. d. n.)

Kazimierz Krzysiak (I.)

Szarą godziną...

Cicho, cichutko, szarą godziną
Melodię smętną serce mi łka,
Smętne piosneczki spod skrzypek płyną —
A w oku szkli się perlista łza.

Piękne wspomnienia lat już minionych
Stają jak żywe przed oczy me,
Kraj lat dziecinnych, lat upragnionych...
One nie wrócą już nigdy — nie!

Zmrok już zapada, światło się świeci —
A w sercu smutek, gorycz i żal...
Wzrok pytający gdzieś w przysłość leci
Ku nowym celom — w bezkresną dal.

S. S. F.

Kronika.

Z życia Koła Szkolnego Ligi Morskiej i Kolon. Powstało u nas, a właściwie obudziło się do nowego życia Koło L. M. i K., liczące w chwili reorganizacji 87 członków. Dnia 23. XI. 1936 r. odbyło się Walne Zebranie, na którym wybrano Zarząd w następującym składzie: kol. Broszkiewiczówna (IV.) przewodnicząca, kol. Fudali (VIII.) zast. przew., kol. Brzezińska K. (VII.) skarbniczka, kol. Wygonna (III.) sekretarka i kol. Stręk (IV.) rozdzielca gazeztki. Do Komisji rewizyjnej weszli: kol. Kasprzyk (VII.I), kol. Oskwarek (VII.) i kol. J. Udziela (III.)

Celem tej ideowej organizacji jest propaganda polskiego morza i spraw z nim związanych, oraz uświadomienie społeczeństwa o konieczności zgodnego wysiłku, by uzyskać tereny dla polskich kolonii.

Opiekun Koła jest p. prof. Głowacki oraz z ramienia Obwodu Ligi M. i K. p. prof. Werszler. — Składkę miesięczną w wysokości 1 grosza (lub więcej) płacą członkowie dość regularnie. Koło otrzymuje pismo miesięczne „Polska na morzu" i rozdziela je między członków wedle wpłaconych wkładek.

Mając na oku służenie ideałom tej pięknej i ważnej organizacji, wzywamy wszystkie Koleżanki i Kolegów do współpracy.

Sekretarka.

II. Drużyna żeńska harcerek im. Michaliny Mościckiej liczy 52 druhen i dzieli się na 7 zastępów, z których jeden jest przygotowawczy. Założeniem tegorocznym jest podniesienie karności w drużynie i w tym kierunku zorganizowana jest praca. Harcerki jednak nie ograniczają się do pracy li tylko w łonie drużyny, ale uwzględniają i pracę społeczną. Tak więc np. zajęły się wiciem wieńców na groby poległych żołnierzy i zorganizowały pomoc dla biednej dziatwy zbierając odzież i przybory szkolne.

W grudniu urządziła drużyna wieczorynkę na św. Mikołaja dla całego gimnazjum, a następnie z ramienia Gminy szkolnej powtórzyła ją raz jeszcze w szkole powszechnej na Chełmie dla tamtejszej dziatwy.

W łonie samej drużyny urządzone zostały „Andrzejki" w świetlicy. —

Z życia Koła Krajoznawczego. Dnia 29. XI. jako w wigilię św. Andrzeja odbyły się staraniem tut. Koła Krajozn. „Andrzejki" w sali Strażnicy z wielce urozmaiconym programem, w skład którego wchodziły tańce narodowe polskie, wesołe monologi i śpiewki oraz tradycyjne „lanie wosku". Wieczornicę tę zaszczycił swą obecnością pan wizytator Komar. —

Praca Sodalicji żeńskiej rozwija się w bieżącym roku w myśl hasła: „Wprowadzać będę w życie prawa Chrystusowe". Praca idzie trybem normalnym. Zebrania i nabożeństwa odbywają się co miesiąc. Bardzo ważną i dobrą myśl, podjętą przez zjazd sodalicyjny w Częstochowie, by stworzyć „orszaki klasowe", urzeczywistniłyśmy na terenie naszej sodalicji. Powstały orszaki klasowe, które podnoszą ogólną sprawność działania.

Ta nowa forma naszego życia sodalicyjnego jest bardzo wartościowa. Orszaki klasowe składają się ze sodalisek, najbardziej zżytych ze sobą, najlepiej się znających, zbliżonych do siebie wiekiem i zainteresowaniami. Mają wiele tematów wspólnych, które omawiają na zebraniach orszaku, wpływają na siebie w klasie, a również zwarta całość orszaku może wpływać na inne koleżanki, na opinię klasy. Orszaki przygotowują program i dyskusję na ogólne zebrania, starają się najlepiej wykonywać wszelkie polecenia i obowiązki, przez co wytwarza się jakby rywalizacja między orszakami.

Gwiazdka dla biednych dzieci górników „Saturna". Gmina kl. I. wysłała w grudniu b. r. dary gwiazdkowe dla dzieci bezrobotnych górników kopalni „Saturn" w Czeladzi w postaci książek do czytania, słodyczy i artykułów odzieżowych. W odpowiedzi otrzymała następujący list od Komitetu Pomocy biednym przy miejscowych drużynach harcerskich na Saturnie: Do Uczennic i Uczniów klasy I-ej państwowego gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Myślenicach. — Niezmiernie wzruszeni jesteśmy Waszym szlachetnym czynem, który objawił się przez przysłanie podarunków, a w szczególności odzieży i książek dla najbiedniejszych dzieci górników. Ponieważ w tym roku miejscowe harcerstwo, na skutek porozumienia się z Komitetem Pomocy Biednym, zajęło się urządzeniem „choinki" dla najbiedniejszych dzieci szkolnych, przejęło więc podarunki Wasze celem równomiernego ich podziału wśród dzieci. Nie mamy słów na to, z jakim skupieniem wysłuchały dzieci serdecznego listu Waszego, odczytanego przed łamaniem się opłatkiem i z jaką radością przyjmowały książki, które zostały skompletowane przez harcerzy i rozdane dzieciom drogą losowania — a na zakończenie dostały dzieci po torbie łakoci. Co do odzieży od Was, to przesłaliśmy ją Komitetowi Pomocy Biednym, który po skompletowaniu jeszcze od siebie ofiarowaną odzieżą, zajmie się jej podziałem wśród dzieci. W imieniu więc tych wszystkich dzieci, które wzięły udział w „choince" oraz miejscowego harcerstwa, serdecznie Wam, kochani Uczniowie i Uczenice dziękujemy za Wasze dobre serca, że co roku pamiętacie o bliźnich Waszych ze stanu górniczego. Przesyłamy Wam pozdrowienia i życzenia pomyślnych rezultatów w pracy szkolnej i łączymy nasze harcerskie: Czuwaj! —

Przewodniczący: Z. Czarnowski. Sekretarz: Stachiński.

Komisja redakcyjna: *Mieczysława Nagawiecka, Zofia Polończykówna, Jan Konieczny, Renata Hirkawska, St. Kiczmal.*
Opiekun: *prof. Ludwik Werschler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.